

WIEŻA

Chcę opowiedzieć Wam o pewnym człowieku. Nie ma imienia, choć mógłby je mieć.

Właściwie, wszystko mogłoby wyglądać inaczej - czas, miejsce, bohater, zdarzenia. Ale co by to zmieniło?

Ten człowiek nie robił nic nadzwyczajnego. Tak jak ty i ja budował swoją wieżę.

Gdzie jest początek? Początek jest w nicości. A może wcale go nie ma?

Pierwsze co pamięta to ciemność. Wypełniało ją spokojne, majestatyczne bicie serca jego matki... Było im tak dobrze...

Aż pewnego dnia wszystko stanęło na głowie.

Szary, wilgotny poranek. Gęsta, nieprzyjemna mgła. Drewniana kładka ugiwała się pod ich stopami, skrzypiąc złowieszczo. Jeszcze wtedy nie wiedział, że tam, gdzie kończy się kładka, zaczyna się przepaść.

Matka zaprowadziła go na wyspę - jego własną wyspę. We mgle nie widział prawie nic. Pamięta tylko, że było mu zimno i że płakał.

Następnego dnia mgła nieco opadła. Nieśmiałe promienie słońca odkryły przed malcem tajemnice wyspy, a on niezwłocznie przystąpił do ich zgłębiania.

Interesował go sposób ułożenia kamieni w zagłębieniu koło kładki, trajektoria lotu patyka, żdźbło trawy zgniecione stopą. Pewnego dnia ze zgrozą odkrył, że obszar jego badań jest ograniczony. Wyspę ze wszystkich stron otaczała przepaść, której dna nie dało się dostrzec (zrzucanie kamyków też nie przyniosło rezultatów). Wykonawszy jednak odpowiednie pomiary, wykorzystując jedyny dostępny mu sprzęt - własne kroki - doszedł do uspokajającego wniosku, że wyspa jest nie mniej, nie więcej tylko w sam raz dla niego.

Właśnie wtedy odkrył, że jego idealna przestrzeń życiowa została naruszona. Nagle zaczęły się tam pojawiać sterty piasku, kamieni, desek i dziwnych narzędzi. Jednak wkrótce uspokoił się - okazało się, że to rodzice znoszą je na jego wyspę.

- Tatusiu, na co nam to wszystko? - zapytał, gdy wieczorem ojciec układał go do snu. Ten w odpowiedzi uśmiechnął się tylko i otulił go kołdrą.

- Wyśpij się dobrze synku. - odpowiedział. - Jutro zaczynamy budowę.

I choć nie zdążył zapytać, co to właściwie jest „budowa”, następny dzień udzielił mu odpowiedzi. Matka i ojciec kopali, nosili coś w wiadrach, obrabiali kamienie, coś mieszała, wylewali, cięli, zbijali. Wydawałoby się, że nie ma tam miejsca dla naszego młodego człowieka. Jednak rodzice pilnowali, aby każdego dnia budowy czegoś się nauczył - a to jak trzymać młotek, powbijać gwoździe, pilnować deski, czy obrabiać kamienie.

Czas mijał. Budowa posuwała się do przodu. Mały człowiek dojrzewał i uczył się. Z każdym dniem robił coraz więcej, wyręczał rodziców.

Aż w końcu pewnego dnia stanęli na wyspie przed gotowym czymś, co ojciec nazywał „fundamentami”.

- Synu - ojciec położył mu rękę na ramieniu. - Tu kończy się nasza praca. Teraz będziesz musiał budować sam, by to, co tu stanie, było twoim dziełem.

Patrzył jak niebo zabarwia się na czerwono. Gdzieś tam za kurtyną mgły zachodziło słońce. Dzień chylił się ku końcowi. Tak samo kończył się pewien rozdział w jego życiu...

Schronił się w cieniu niewielkiej jabłonki - tak odpłacała mu się w upalne dni za lata troski. Słodka kropla soku z ugryzionego jabłka spłynęła mu po brodzie i wylądowała na obnażonym, spoconym od upału torsie.

Dziś rodzice przyszli mu gratulować - idealnie okrągła chata wyglądała imponująco, a przy tym była bardzo przytulna. Jednak, gdy tak razem na nią patrzyli, człowiek zdał sobie nagle sprawę, że oni widzą tam coś innego niż on - coś gotowego, skończonego. On wiedział, że to dopiero początek.

Leżąc pod jabłónką widział nie chatę, lecz pierwsze piętro. W wyobraźni stawiał na nim

następne i następne, coraz wyżej i wyżej... aż w końcu powstała wieża. Piękna, strzelista -jego wieża.

Miała już siedem pięter, a na ostatnim okno, które zbudował, było zwrócone na wschód.

Tego dnia specjalnie wstał wcześniej w nadziei, że wreszcie uda mu się zobaczyć wschód słońca. Ciemności powoli zaczęły się rozstępować. Wstrzymał oddech. Po raz pierwszy mgła przerzedziła się na tyle, by widział coś poza własną wyspą.

Przepaść, za przepaścią wyspa - a na niej wieża!

W oknie na wprost niego stała kobieta. Młoda, świeża jak wiosenny poranek. Uśmiechnęła się do niego i odeszła.

Następnego dnia znów wszedł na wieżę. Czekał. Pojawiła się. Uśmiechnęła. Zniknęła.

I tak dzień w dzień powtarzał się ten sam rytuał - wychodzili na wieżę, by uśmiechnąć się do siebie, odejść i czekać na kolejny dzień, który przyniesie upragniony uśmiech.

Okno było stanowczo za małe. Człowiek postanowił zbudować tam balkon. I tak też zrobił. Teraz był pół metra bliżej niej. Zachęcona jego działaniem, też zbudowała balkon. Teraz ich spotkania były dłuższe, uśmiechy bardziej wymowne.

Jednak wciąż było im mało... Wiedzeni potrzebą wzajemnej bliskości, przystąpili do budowy mostu, który miał połączyć obie wieże.

Budowali powoli, wytrwale. Każdy centymetr mostu, każda minuta pracy dawała im szczęście - szczęście ludzi, którzy tworzą wspólnie coś ważnego, coś, co łączy ze sobą ich dwa światy, co ich wiąże.

I nadszedł ten dzień. Most był gotowy. Stanęli tam gdzie łączyły się ich dwa światy. Złączyły się ich spojrzenia. Złączyły się ich ręce. Złączyły się też ich uśmiechy - w oczekiwany od tak dawna pocałunek.

I żyli długo i szczęśliwie...

Jednak nawet najbardziej szczęśliwi ludzie czasem mają gorsze dni. Nieraz złościł się on, nieraz ona.

Ich uczucia najboleśniej odczuwał na sobie most. Tutaj wściekły kopniak, pełne goryczy uderzenie pięścią, paznokcie rozpaczliwie wbite we wrażliwy punkt. Nic dziwnego, że niektóre z kamieni obluzowały się, inne rozkruszyły lub spadły w przepaść.

Przez uchylone drzwi nieraz widział, jak próbowała latać swoją część. Kamienie zawsze potem były mokre od jej łez.

I on nieraz próbował coś naprawić. Z początku przynosiło mu to ulgę. Jednak konflikty mnożyły się i przybierały na sile. W końcu naprawy stały się udręką- więc zaniechał ich. Ona też.

Był to zimny i nieprzyjemny dzień w czasie, gdy każde spotkanie na moście napawało go strachem, że zaraz runą w przepaść. I choć bardzo chciałby cofnąć czas, do momentu, gdy most dało się jeszcze naprawić, nie mógł. Najgorsza była jednak świadomość, że oni sami są temu winni.

Tego dnia chcieli sobie wszystko wyjaśnić. Chciał ją przeprosić. Chciała mu powiedzieć, jak bardzo jej na nim zależy. Nikt nie wie, jak to się stało, ale gdy otworzyli usta, nie mówili już tym samym językiem. Nie mogli zrozumieć ani słowa.

Ostatnim, co pamięta, jest jej postać - stała w drzwiach po drugiej stronie mostu. Po raz pierwszy od dawna odwrócił się za siebie. I zobaczył jej uśmiech - inny niż gdy się poznali. Był to dziwny uśmiech - pełen bólu i zmęczenia. Uśmiech proszący o przebaczenie, gdy słowa zawodzą.

Po jej policzku spłynęła wtedy łza. Długą, słoną bruzdą zaznaczyła swą drogę po jej twarzy, nim w końcu spadła na kamienie.

Tego było już za wiele. Most nie mógł udźwignąć ciężaru tak wielu cierpień.

Runął.

Nim przestrzeń wypełniła się mgłą zobaczył tylko, jak w jej wieży zamykają się drzwi. Zamknęła je na klucz.

Świat pokryła gęsta mgła.

Jedynym punktem, do którego mógł się piąć, był błękitny skrawek nieba tuż nad nim. Budował piętro za piętro. Ten skrawek stał mu się bratem i przyjacielem. Znał jego reakcję na koniec dnia, na niepogodę, na wschód słońca, na gęstniejącą mgłę, i znał też jego obojętność na wszystkie swoje poczynania.

Piął się coraz wyżej. Skrawek nieba tak samo radował się czerwienią na koniec dnia ciężkiej pracy, jak i na koniec dnia, który człowiek spędził gapiąc się na płynące w górze chmury.

Chciał poznać tajemnicę tego spokoju. Tej stałości mimo ciągłych zmian.

Niebo było każdego dnia inne, a jednak dalej było niebem i trwało niezmiennie w górze, niczym nie okazując swej postawy wobec zbliżającego się do niego człowieka.

Piął się w górę. Bo czy zostało mu coś więcej?

To, na czym mu zależało, zostało w dole, zostało za nim. Po tym jak legło w gruzach nie chciał już pamiętać.

Ale pamiętał. Aż do bólu.

Czy pnać się coraz wyżej, uda mu się od tego uciec? Czy można od tego uciec? Przecież to też część jego wieży. Część, na której zbudował następne piętra...

I będzie budował. I będzie próbował. I będzie marzył o sięgnięciu nieba.

Aż braknie mu sił...